

Ewa Ostrowska

Wspomnienie o Kazimierzu Nitschu : (1 lutego 1874 - 26 września 1958)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 50/2, 733-751

1959

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

EWA OSTROWSKA

WSPOMNIENIE O KAZIMIERZU NITSCHU

(1 LUTEGO 1874 — 26 WRZESNIA 1958)

Szeroki ogół widział w Nitschu przede wszystkim dialektologa. I słusznie. Jego dorobek naukowy z tego zakresu jest tak duży, że gdyby się do niego wyłącznie ograniczał, dzieło życia uczonego pozostałoby wystarczająco wielkie.

Ale nazywać Nitscha dialektologiem to za mało. Nie tylko dlatego, że zasługi jego w innych działach językoznawstwa są także wielkie. To jest za mało z pozycji historycznej oceny jego znaczenia dla polskiej dialektologii. Żyjący w czasach świetnego rozwoju tej gałęzi językoznawstwa, przyzwyczajeni, nawet jako zupełni ignoranci, do terminów: dialekty, dialektologia — już dziś nie uświadamiamy sobie dostatecznie, że dzieje się tak za sprawą jednego człowieka, Kazimierza Nitscha, który przeszło pół wieku temu odkrywał polskie dialekty i — niepodobna inaczej powiedzieć — tworzył polską dialektologię.

Była to praca pionierska. Wszystko niemal trzeba było zaczynać od nowa, bo zastane początki mogły być co najwyżej bodźcem do wszczęcia całej nowej roboty.

Ogromnej. I tej dokonał Nitsch. Bo kiedy w 13 lat od pierwszej ogłoszonej pracy dialektologicznej¹, tj. w 1915 r., wydał swoje *Dialekty języka polskiego*, trzeba ten fakt rozumieć w ten sposób: w ciągu tych lat sam jeden w wędrówkach po Polsce zebrał materiał z całego niemal terytorium kraju; sklasyfikował go i opisał; objaśnił; wykrył system i ujął w syntezę.

I wszystko to uczynił bezbłędnie. Późniejsze szczegółowsze badania, włączając najnowsze, nie podważyły w niczym obserwacji i ujęć systemowych Kazimierza Nitscha. Przeciwnie. W świetle nowych poszukiwań okazało się, że obraz przedstawiony przez

¹ *Studia kaszubskie: Gwara luzińska. Materiały i Prace Komisji Językowej AU. T. 1. Kraków 1904, s. 221—273.*

Nitscha jest prawdziwy. A jeśli dzisiaj granice dialektów i izoglosy niektórych cech gwarowych wypadnie na pewnych odcinkach wyznaczyć nieco inaczej niż na mapach historycznych już obecnie *Dialektów*, to dzieje się tak na skutek przemian tłumaczących się ewolucją i przeobrażeniami społeczno-kulturalnymi, wyrażającymi się wpływem na gwary języka ogólnego lub wzajemnym ich na siebie oddziaływaniem.

Nie zmieniał też w zasadzie tamtych swoich ujęć sam Nitsch. Co więcej, w późniejszych pracach do tematu tego, tzn. do klasyfikacji i systematyzacji całości polskich gwar, przez lat przeszło 30 nie wracał. A gdy w 1957 r. podjął nowe wydanie *Dialektów*, w systemie swoim nie musiał dokonywać zmian; co najwyżej dało się niektóre szczegóły uściślić, pewne zagadnienia ująć w inny trochę sposób. Samych zasad systematyzacji nie zmieniał. Bo i po co? Rzecz już w pierwszym ujęciu była skończona. Przedstawiony obraz można było tylko uzupełniać, rozszerzać, pogłębiać. I wysuwać nowe zagadnienia.

W obu tych kierunkach idą późniejsze prace Nitscha. Wyznaczają one jakby nowe, kolejne etapy w rozwoju dyscypliny naukowej, której autor *Dialektów* był twórcą.

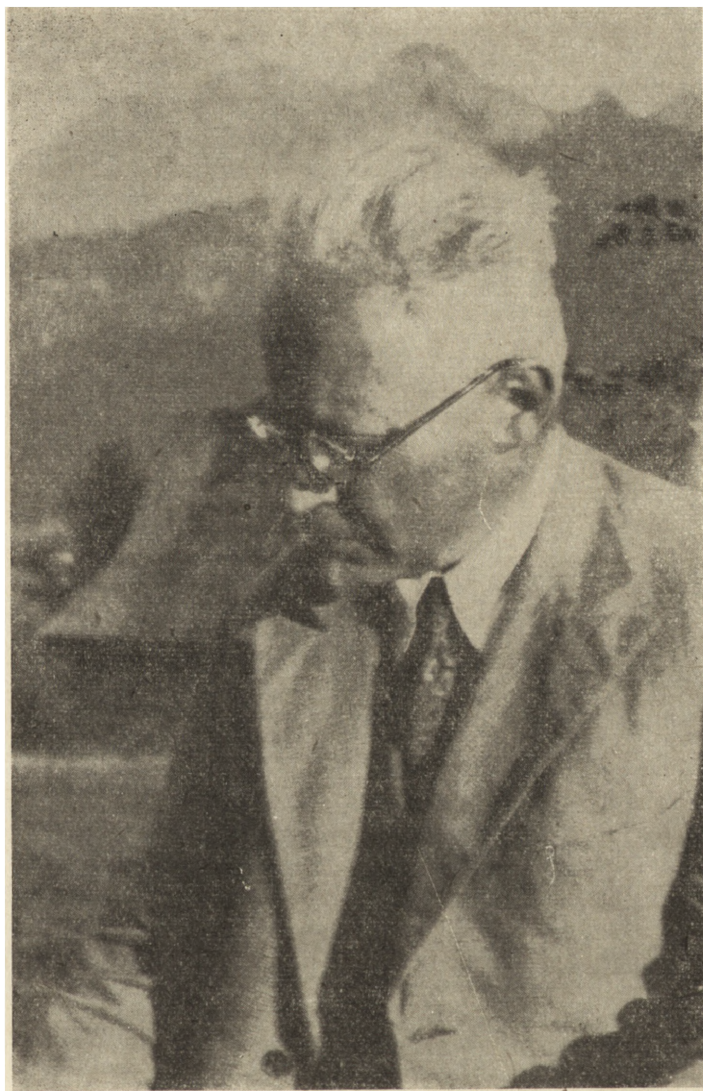
Punktując: rok 1916 przynosi trzy opracowania monograficzne (*Fonetyka międzywyrazowa*, *Małopolskie ch*, *Prastowiańskie ł'*), a w dwa lata później ukazuje się duża rozprawa, w naszych warunkach całkowicie nowatorska, pt. *Z geografii wyrazów polskich*², omawiająca zasięgi gwarowe nazw niektórych zwierząt i przedmiotów z zakresu kultury materialnej. Pod względem metodologicznym są te prace wzorem dla późniejszych rzeczy tego typu.

Następnie rodzi się pomysł opracowania atlasu gwar polskich, najpierw Podkarpacia, co zostało zrealizowane wspólnie z uczniem, Mieczysławem Małeckim (1934), a potem atlasu ogólnopolskiego. czym się mógł Nitsch zająć dopiero w 1950 r., kiedy przy PAU, a później PAN, powstała osobna komisja — z Nitschem na czele, osobiście kierującym poza tym specjalną pracownią w Krakowie — dla zespołowego opracowania takiego atlasu.

Na naukowych podstawach opartej dialektologii nie wystarcza zbieracki *Słownik gwar polskich* Karłowicza³, dzieło końca XIX

² *Z geografii wyrazów polskich*. Rocznik Sławistyczny, 1918.

³ Por. recenzję tego *Słownika*, napisaną przez Nitscha w Roczniku Sławistycznym, 1911.



Kazimierz Nitsch

wieku. Konieczny jest nowy wielki słownik gwarowy. Kazimierz Nitsch staje się inicjatorem i kierownikiem prac zespołowych nad nowym wielkim przedsięwzięciem.

Dziś istnieje obok dialektologii opisowej dialektologia historyczna. Tę historyczną stronę badań dialektologicznych Nitsch doceniał od samego początku w swoich pracach nad gwarami.

Łączył stare zasięgi gwarowe z dawnymi granicami plemiennymi, na podstawie dzisiejszych faktów gwarowych wysuwał hipotezy co do stanu w przeszłości i pierwszy, w pracy *Z historii polskich rymów* (1912), wskazał na cechy gwarowe u pisarzy staropolskich. On też pierwszy zagadnienie pochodzenia polskiego języka literackiego oparł na argumentach językoznawczych, wysuwając tezę o wielkopolskiej jego genezie, przeciwstawiającą się pogładowi o małopolskim początku polszczyzny literackiej.

Danym mu było dokonać, co się udaje niewielu uczonym: był twórcą nowej dyscypliny naukowej, polskiej dialektologii, i twórcą całej szkoły dialektologicznej. A wśród tych tym jest rzadszy, że się w ramach stworzonej przez siebie specjalności nie zamknął. Ani się w niej nie pograżył, ani wyczerpywał. Jego przeszło 700 pozycji licząca spuścizna dotyczy paru innych działów językoznawstwa⁴.

Nie tu miejsce, żeby się zajmować wszystkimi osiągnięciami naukowymi Kazimierza Nitscha, niepodobna jednak nie wskazać na dwa jeszcze działy, na których się skupiała w ciągu całego życia uwaga badawcza uczonego.

Wydane w 1948 r. *Studia z historii polskiego słownictwa* zawierają na końcu indeks nie tylko wyrazów omawianych w tym zbiorze, ale także wyrazów, którym autor poświęcił osobne opracowanie w *Języku Polskim*, nie uwzględnia natomiast licznych studiów nad słownictwem gwarowym. Indeks ten liczy 6 dwuspaltowych stron. Czyli liczba wyrazów, które zwróciły na siebie bliższą lub dalszą uwagę badacza (w tym także innosłowiańskie), wynosi około 600. To dużo. I nie mnożmy jej ilością niezbędnych sięgnięć do rozmaitych słowników przy jednym tylko wyrazie.

Jeśli do tego dodać studia o słownictwie gwarowym, o nazwiskach i nazwach miejscowych, staje się przed dorobkiem imponującym. A trzeba podnieść, że Nitschowe opracowanie jest monografią ujmującą różne strony zagadnienia. Zagadnienia, zdawałoby się, drobnego, ale na warsztacie Nitscha w problemie opracowywanym znajdowały odbicie szerokie horyzonty jego wiedzy, szcze-

⁴ Pełną charakterystykę całej naukowej twórczości Kazimierza Nitscha w zakresie dialektologii, historii języka, leksykografii, sławistyki oraz działalności pedagogicznej, popularyzatorskiej, redakcyjnej i dotyczącej organizacji nauki zawiera specjalny zeszyt *Języka Polskiego* (1954), ogłoszony dla uczczenia jubileuszu osiemdziesięciolecia Uczonego.

gół stawał się punktem zaczepienia dla ogólniejszych powiązań systemowych, życie jednego wyrazu ukazywało się na tle życia całego języka.

Dla umysłowości uczonego za szczególnie charakterystyczne uznać trzeba te studia wyrazowe, w których Nitsch wychwytuje inność, osobliwość, zwłaszcza formalną, i osadza ją w tle systemu. Systemu, który wyczuwał nieomylnie, który był dla niego jak oczywistość. Jako oczywistość też występuje w jego pracach jako tło rozważań. Natomiast — trzeba podnieść — zgodność stwierdzana w szeregu wypadków sama w sobie Nitscha nie pociągała.

Bystrość, spostrzegawczość wyrobiona przy badaniach gwarowych służyła Nitschowi doskonale w obserwacji przemian bieżącego języka. Na wszystkie jego wahania wyczulony, raz po raz zwracał na nie uwagę w swoich artykułach lub w *Odpowiedziach Redakcji Języka Polskiego*, którego był współzałożycielem i najgorliwszym redaktorem. Właśnie na łamach tego pisma zamieszczał swoje opinie poprawnościowe, dalekie jednak od sztywnego puryzmu, zawsze wszechstronnie rozważone i dobrze podbudowane. Zebrane razem, stworzyłyby spory tom. Bieżącym językiem zajmował się Nitsch chętnie i z pasją, która była niewątpliwym przejawem jego pasji społecznej, znajdującej zresztą swój wyraz i w innych formach działalności (żeby bodaj wspomnieć jego udział w życiu wielu instytucji naukowych, w pracach nad ustaleniem ortografii itp.).

Czytelnika *Pamiętnika Literackiego* zainteresują szczególnie te prace Kazimierza Nitscha, które — z językoznawczego punktu ujmowane — dotyczą zagadnień bliskich także historykowi literatury. Tu należą studia poświęcone rymom. Najpierw staropolskim, w nowatorskiej pracy *Z historii polskich rymów* (1912). Jakkolwiek w ostatecznym jej wniosku ustalone zostały pewne fakty cenne dla historii języka i staropolskiej dialektologii, ważniejsze jest to, że nie można sobie dziś wyobrazić prac nad polskim rymem podejmowanych z pozycji literackich — bez uwzględnienia metodologicznych i materiałowych zdobyczy publikacji Nitscha. W końcowych uwagach sam autor wysunął zresztą parę problemów literackich, dotyczących głównie rozwoju formy poetyckiej, oraz dał — tu i w całej książce — szereg wnikliwych i żywych charakterystyk omawianych indywidualności pisarskich.

Znawca rymów staropolskich, interesuje się też rymami współ-

czesnymi. Mówią o tym prace: *O nowych rymach*⁵, *O rymach głębokich i niezpełnych*⁶. Znakomicie odczytany we współczesnej poezji, zwraca uwagę na osobliwą, nową wówczas „modę rymową“ typu ogląda-blondyn i daje jej trafne wyjaśnienie. Ubocznie oba studia pokazują, że trudno mówić o tych zagadnieniach bez znajomości prostych faktów językowych.

Wspomnieć choćby trzeba o wydaniu z językowym komentarzem niektórych utworów pisarzy staropolskich (jak *Szachy Kochanowskiego*, *Wybór z pism Jana Kochanowskiego*, *Urywki języka Ignacego Krasickiego*). Wydania te, podobnie jak stale prowadzona na łamach *Języka Polskiego* walka o dobre, nie fałszujące języka pisarzy edycje⁷, osiągnęły chyba choć w części swój cel. I jeśli się dziś przy wydawaniu pisarzy staropolskich o tyle więcej niż dawniej wykazuje troski o staranne zachowanie ich cech językowych, niewątpliwie duża w tym zasługa także Nitscha, który — gdzie mógł i jak mógł — takiej staranności uczył.

Z pisarzy najbliższy Nitschowi był Mickiewicz. W zeszycie *Języka Polskiego* poświęconym Mickiewiczowi (1934) pomieścił Nitsch aż dwa artykuły: *Z zagadnień języka Mickiewicza* i *Na marginesie autografów „Pana Tadeusza“*, wskazując na konieczność opracowania pełnego słownika poety i dając parę cennych uwag co do metody opracowań stylu i języka, przeciwstawiając się chyba pierwszy pojmowaniu badań nad stylem pisarza w oderwaniu od badań nad jego językiem. Warto też dodać, jak chętnie umieszczał na łamach swego pisma artykuły niejęzykoznawców dotyczące zagadnień języka utworu literackiego czy wersyfikacji⁸.

Jako redaktor *Języka Polskiego* nie przeoczał zresztą nigdy rocznic poświęconych wielkim pisarzom. Poza wspomnianym zeszytem ku czci Mickiewicza wymienić trzeba szereg artykułów o Kochanowskim w jubileuszowym roku 1930, a po wojnie zeszyt

⁵ *O nowych rymach*. Przegląd Współczesny, 1925.

⁶ *O rymach głębokich i niezpełnych*. *Język Polski*, 1926.

⁷ Na przykład zob. *Jak transkrybować stare druki polskie*. Tamże, 1921.

⁸ Należą tu m. in. artykuły: K. Budzyk: *Gwara a utwór literacki* (1936), *O gwarze, języku literackim i języku literatury* (1937). — F. Siedlecki: *Z zagadnień polskiego wiersza średniowiecznego* (1937), *O nowych badaniach nad budową wiersza* (1945).

poświęcony Odrodzeniu (1953) i — po raz drugi (1955) — Mickiewiczowski. Zabiegał, żeby bodaj jeden artykuł znalazł się w Języku Polskim na podobne okazje. I jeśli w r. 1946 pisał:

Z radością powitałem nadesłany redakcji [...] artykuł ks. J. T. Miłlika o *Gwarze ludowej w nowelach Sienkiewicza*, bo wypełnił on lukę, którą by świeciło nasze pismo w setną rocznicę urodzin jednego z największych mistrzów polskiego języka.

— pisał prawdę⁹.

Własne jego prace świadczą o dużym odczytaniu w literaturze polskiej wszystkich okresów. Odczytaniu dwojakiego rodzaju: dla celów lingwisty, który sięga po dany utwór literacki jako niezbędny tekst, i dla zaspokojenia potrzeb człowieka, który lubi i ceni literaturę piękną.

Odczytanie niezawodowe było u Nitscha większe. Stanowi ono źródło wielu prac; np. wspomnianych artykułów o Mickiewiczu i o nowych rymach. Z takiego samego źródła wywodzi się artykuł *Czy „chramy“, „gontyny“ i „witeziów“ zawdzięczamy młodopolskim modernistom?*¹⁰ Nie szukanie dla tych wyrazów kontekstu i dokumentacji skłania autora do tych czy innych poszukiwań. To doskonała znajomość pisarzy młodopolskich narzuca się takim pytaniem.

W pięknych *Studiach z historii polskiego słownictwa* jest parę rzeczy, których punktem wyjścia stała się ta właśnie lektura uczonego. Monografia o „Póki“ i „nim“ zawdzięcza dużo bodajże Orzeszkowej, a fakt, że się u tej pisarki „po prostu roi od źrenic bezbarwnych, bladych, szafirowych“, stał się ostatecznym bodźcem do napisania rozprawki *Źrenica ‘tęczówka’*¹¹. Podobno i *Tantny* wywodzą się z Fredry, *Broczyć* i *Tuwałnia* prowadzą do Żeromskiego, któremu już wcześniej poświęcał większe wzmianki¹².

Taka też jest geneza *Metrycznej niespodzianki w „Marii“ Malczewskiego*, o czym sam autor mówi w pierwszym zdaniu tej rozprawki:

Siedząc beczynn timer w niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen w Oranienburgu pod Berlinem, przypomniałem sobie umianę z młodych lat na pamięć opis zachodu słońca z *Marii Malczewskiego*:

⁹ O język ludowy Sienkiewicza. *Język Polski*, 1946, s. 175.

¹⁰ Czy „chramy“, „gontyny“ i „witeziów“ zawdzięczamy młodopolskim modernistom? Tamże, 1950.

¹¹ *Źrenica ‘tęczówka’*. Tamże, 1949.

¹² *Żeromski o języku ludu pracującego*. Tamże, 1916. — *O synonimach u Żeromskiego*. Tamże, 1947.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
A żółtym drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie¹³.

Tą rytmiczną niespodzianką jest fakt, że Malczewski cały ów 16-wierszowy opis zamknął w metrum składające się wyłącznie z amfibrachicznych drugich połówek, co sprawia wrażenie rytmu szybszego, a jest osobliwością, gdyż normalnie i u Malczewskiego, i u innych poetów z użyciem 13-zgłoskowca łączy się stałe przeplatanie drugich połówek o rytmie trocheicznym i amfibrachicznym.

Jak zwykle u Nitscha, idzie o szczegół drobny, ale rzucający dużo światła na rzecz ważną, tu na artyzm Malczewskiego. Słusznie, choć cierpko, stwierdza autor przy końcu: „przez sto lat uszło to uwagi tylu zachwycających się artyzmem poematu krytyków i historyków“. Kończy się rozprawka czymś, co brzmi trochę jak usprawiedliwienie własnej wnikliwości i co jeszcze raz nawiązuje do niezawodowego interesowania się dziełem literackim:

Gdyby się poezje częściej recytowało i recytacji słuchało, zamiast tak bardzo przeważającego cichego, a choćby półgłosnego czytania nawet liryków, gdyby się w ogóle w języku bardziej zwracało uwagę na formę głosową, to uchwycenie realnej, jak się pokazało, różnicy omawianego ustępu od normalnego ustępu 13-zgłoskowego nie byłoby takie trudne.

Rozprawka ta odsłania charakterystyczny dla osobowości Nitscha szczegół. Znał dużo wierszy na pamięć. Z Mickiewicza najwięcej, bo go najbardziej cenił, ale także Kochanowskiego, Słowackiego, Fredry, Wyspiańskiego i innych. Nawet Gałczyńskiego. Cytował je łatwo, swobodnie, bo pamięć miał usłużną. Nigdy nie szło o popis. Cytat wplatał się naturalnie w prowadzony dialog — ani za częsty, ani za długi.

Na codzień były to fragmenty lżejsze, z pointą żartobliwą. Rzadko dało się usłyszeć od Nitscha fragment liryczny. Regułą bodaj było wtedy, że zwracał się z jakimś ściśle językowym pytaniem o formę gramatyczną czy o wyraz występujący w cytowanym wierszu. Mniej wnikliwych mogło to prowadzić do wniosku, że owe wiersze utrzymywały się w pamięci Nitscha nie dlatego, że były piękne, lecz dlatego, że zawierały interesujący lingwistę szczegół. Tymczasem nic podobnego. Nitsch cenił piękno utworu literackiego i dawał się urzec jego urokowi. Tą zresztą miarą

¹³ *Metryczna niespodzianka w „Marii“ Malczewskiego. Twórczość, 1947, nr 6, s. 121.*

estetyczną oceniał innych. Kiedy raz opowiadał o kimś znajomym i charakteryzował jego kulturę umysłową, rozmowę zakończył pytaniem: „Jak pani myśli, czyje wiersze cytował? A umiał tego nawet dużo. Z poetów romantycznych“. „Kraśińskiego?“ „Tak. To charakteryzuje. Całe ustępy z *Przedświtu*. I poza Kraśińskim nic“.

Ale rzadkie to były okazje, kiedy się jasno widziało, jak z nim samym było naprawdę. Oto on właśnie na apelu w obozie koncentracyjnym, w jedno wczesne rano, a raczej pod koniec nocy niezwykle ostrej zimy 1940, mówił półgłosem dla siebie i najbliższych towarzyszy wiersz Słowackiego, nieznanym i ślicznym:

Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają,
Ja się budzę i wzrok do gwiazd niosę,
Kiedy kwiatki w rosie czoła maczają,
Ja ożywam, Pańską pijąc rosę.
Cherubiny wtenczas rzędem stają
I puklerze z ognia złotowłose
Przeciw duchom złym mają zwrócone,
Płaszcz, tarcze jak żelaza czerwone¹⁴.

Bodaj raz sam się przyzna publicznie. Zrobi to w pierwszych zdaniach *Uwag językowych o Surowym jedwabiu* Marii Pawlikowskiej:

Uwagi językowe o tomiku prawdziwych poezji? Ścisły gramatyk powie, że to nie warto albo się nie da; z góry na „filologa“ patrzący artystyczny krytyk literacki zdumieje się nad jego zuchwalstwem. A niechże się gorszą czy oburzają — językoznawca ma prawo nie tylko pięścić się wierszami, ale też obserwować je¹⁵.

Pawlikowską lubił i dużo jej wierszy umiał na pamięć, cytując je jako sprawdzian rozumienia tak bardzo u niej oszczędnych środków ekspresji. Że ją wyraźnie lubił i uważał za poetkę bardzo subtelną, łatwiej mu się było przyznać aż do pieszczenia wierszami.

Warto przypomnieć, co wytyka tej prawdziwej poetce. „Papierość“ sarniątką pod łanią w prześlicznym i śmiałym wierszu *Mądry i głupi* („dziwi to u autorki, bardzo te jelenie i sarny lubiącej“), a korektorom trzy błędy i przecinki nie zawsze w porządku.

Uznając jak i poetka pierwszy czterowiersz *Ciszy morskiej*

¹⁴ Wspomina o tym S. Urbańczyk, *Uniwersytet za kolczastym drutem*. Kraków 1946, s. 56.

¹⁵ *Język Polski*, 1932, s. 146.

Mickiewicza za *Najpiękniejszą zwrotkę*, od razu podchwycił zmianę w stosunku do tekstu Mickiewicza. Poeta pisze:

Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Gdy u Pawlikowskiej jest:

Co zbudzi się, by westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Subtelnie analizując to odchylenie, Nitsch chciałby wiedzieć, czy poetkę zawiodła pamięć, czy też wprowadziła zmianę świadomie. A w końcu powie trochę z żalem czy raczej z subtelną ironią:

Wiersz ten bierze nas wszystkich, poetów i lingwistów, tylko że lingwiści nie mają do rozporządzenia pięknych przerośni o „wadze i kolorze“.

Jakże pisał sam, wrażliwy na piękno wyrażające się poprzez język? Nie zwykliśmy w kategoriach estetycznych oceniać prac naukowych. Zwróceni ku ich merytorycznym wynikom, zadawałamy się jasnością sądów, przejrzystą kompozycją, poprawnym językiem. Z pisarstwem Nitscha jest inaczej. Niepodobna przecież nie uznać mistrzostwa formy, w której się głównie wypowiadał, tj. niewielkiego artykułu, czyli — wyrażając się jego słowami — „rozprawki“ („ja najlepiej lubię tę nazwę“).

Dobre pisarstwo Nitscha najlepiej ocenić na podstawie zebranych w osobny tom *Studiów z historii polskiego słownictwa*¹⁶, zawierający 27 monografij. Pisał je Nitsch w czasie okupacji, w okresie ciężkim, absorbującym sprawami ogólnymi i kłopotami złego codziennego dnia (mieszkał nadal we własnej willi na Salwatorze, ale wyrzucony przez Niemców na poddasze do małego pokoiku, gdzie żeby nie marznąć w zimie, trzeba — mówił — „chodzić okutym jak Eskimos“).

Jak po powrocie z obozu koncentracyjnego — zaledwie przywitawszy się z żoną, jeszcze w płaszczu — szukał w bibliotecznym szafce tomiku *Marii*, by sprawdzić, że „metryczna niespodzianka“ obrazu słońca ma rytm w całym utworze odrębny, tak i później, przez cały czas okupacji, umiał z równą intensywnością myśleć

¹⁶ *Studia z historii polskiego słownictwa*. Kraków 1948. Rozprawy Wydziału Filologicznego PAU. T. 67, nr 6. Stron XXII, 2 nb., 191.

o rzeczach naukowych i organizować je na prawach normalnego życia.

Ale nawet gdy się o tym pamięta, niezwykle jest chyba, że w tych 27 studiach, pisanych jedno po drugim, nie ma bodaj dwóch jakoś bardziej podobnych do siebie w kompozycji, w punkcie wyjścia czy tzw. początku, w konstrukcji całości. Obserwujemy w pełnym tego słowa znaczeniu bogactwo form naukowego opracowania, od większego studium („*Póki*“ i „*nim*“ czy *Robak*) do króciutkich (*Podobno*, *Tantny*, *Tuwalnia*), wśród których znajdziemy dość niezwykle, bo przypominające formą jakby z notatnika przeniesione szkice (*Broczyć*, *Wardęga*).

Od pierwszego słowa charakterystyka wyrazu rozwija się naturalnie. Zawsze jest skończona, choćby od razu pojęta fragmentarycznie. Celna od pierwszego zdania aż po interesującą pointę końcową, nie mającymi nic wspólnego z tzw. wstępem i zakończeniem. Wątki treściowe z formalnymi stapiają się w sposób doskonały.

Charakteryzowane wyrazy przesuwają się przed nami niby sylwetki żywych ludzi, których znamy, to i owo o nich wiemy, ale indywidualnościami uczynił ich dopiero opowiadający o nich pisarz.

Wykładając przez lat przeszło 40 na uniwersytecie, miał uczniów dużo, w tym wielu wybitnych. Nierzadko węzły między Profesorem a studentem nie ulegały potem zerwaniu. Tak Profesor pamiętał o swoich uczniach, jak i oni żywili dla niego zawsze gorącą sympatię i podziw.

Każda próba ponownego nawiązania kontaktu osobistego czy korespondencji przyjmowana była przez Profesora z radością i wdzięcznością.

Z jednym z jego uczniów, dziś profesorem slawistyki w bliskim nam kraju słowiańskim, zetknęłam się niedawno. Mówiło się o nieżyjącym już Nitschu. W jakimś momencie rozmówca wyznał, że nie umiał bez wzruszenia czytać artykułów poświęconych Nitschowi na jubileusz osiemdziesięciolecia w Języku Polskim. Kiedy je czytał żonie, pewne fragmenty przerywał uwagą: „To nieciekawe“. W rzeczywistości szło mu o to, żeby ukryć wzruszenie, płynące — podkreślił — nie stąd, że przypominając sobie tych parę lat studiów pod kierunkiem Nitscha, wspominał równocześnie swoje młode lata. „I pani też bym się z tymi łzami nie wydał, ale Profesor już nie żyje“ — powiedział na końcu, co

wyglądało jak prosta niemożność nieprzyznania się do swojego smutku.

Nawiązując do tej rozmowy, z Nitschem było rzeczywiście tak. Pociągał do specjalności, którą reprezentował, i równocześnie przyciągał do siebie swoją niezwykłą osobowością.

Z paru momentów, o których tu trzeba myśleć, najważniejsza była Nitschowa pasja nauki. Całego go zagarniająca, stale w nim obecna i oczywista dla widza. Mająca siłę wielkości, ale wielkości w geście i słowie całkowicie pozbawiona. Uzewnętrzniała się w sposób ludzki i naturalny.

Nigdy nie zmęczony, zawsze żywy i pełen temperamentu, chyba żadnego wykładu nie poprowadził nudnie. Mówił, jak zawsze i wszędzie, z pamięci. Mała kartka zapisana drobnymi literkami, do której zresztą prawie nie zaglądał, świadczyła jednak, że wykład był wcześniej co do materiału i toku rozumowania ściśle przemyślany. Fakty językowe ożywały, kiedy je stawiał jako zagadnienie wykładu chyba głównie dlatego, że wykład miał charakter każdorazowego przeżycia. To się czuło w każdym ruchu Profesora i w każdym jego słowie — prostym, a równocześnie ścisłym i oszczędnym.

Rozumiał słuchacza. Wiedział, że się słuchając nuży i jeśli mu się za wiele rzeczy na raz poda, nie spamięta. Toteż faktów językowych dawał niewiele. Uderzyło mnie to zwłaszcza, kiedy przyszło mi po wojnie mieć parę razy wykład w zastępstwie Profesora. Zawsze mi wtedy podawał króciutką dyspozycję wykładu. Gdy mówiłam, że mnie tego materiału będzie na wykład za mało, podkreślał, że jest tego aż za dużo, i radził rzecz koniecznie ożywić. Sam urozmaicał wykład najczęściej przypomnieniem jakiegoś zdarzenia czy obserwacji ze swoich wycieczek dialektologicznych, np. jak to na Śląsku ludzie w kościele śpiewają „Królowo prorokływ“, co doskonale odbija tamtejszą dyftongiczną wymowę o długiego, czy jak w środkowej Wielkopolsce chłopiec zapytany, jak po polsku będzie „*der Vogel singt*“, odpowiedział „ptólk śpiwoł“, a „*der Vogel hat gesungen*“ przetłumaczył też „ptólk śpiwoł“, zauważwszy jednak równe brzmienie tłumaczeń, chytrze poprawił na „ptólk już śpiwoł“; szło oczywiście znowu o dyftongiczną wymowę a długiego, zbieżną ostatecznie z wymową -ał.

Był Nitsch doskonałym mistrzem dla studentów bardziej dojrzałych. Młodszych, którzy nie mieli jeszcze podstawowych wiadomości z gramatyki, onieśmiałał, a nawet wprost przerażał. Bo

wiadomości z podręcznika były na seminarium Nitschowskim jak konieczność rozumiana sama przez się. Ich się nie zdawało, o nich się nie mówiło bezpośrednio — miały być i miały być usłużne. Dla trochę już choćby zaawansowanych był Nitsch świetnym kierownikiem i troskliwym opiekunem. Najwyżej cenił zainteresowanie dla nauki, najbardziej go raziła nieudolność myślenia.

Jak na codzień wyprowadzała go z równowagi np. klepsydra żalobna typu „Bak Jan“ czy uparte stosowanie zaimka się po czasowniku, jedno i drugie niezgodne z tradycją kulturalnej polszczyzny, tak też trudno mu było spokojnie znieść odpowiedzi studentów, jeśli dowodziły nieuctwa i nieprawdopodobnej — jak mówił — bezmyślności. Bo takie właśnie, a nie wszystkie błędne odpowiedzi, wywoływały irytację Nitscha. Przy odpowiedzi złej, ale świadczącej o tym, że student myśli, Nitsch się zatrzymywał na ogół i starał się cierpliwie studenta naprowadzić.

Dla charakterystyki Nitscha warto w tym miejscu przypomnieć, co się zdarzyło raz za moich czasów studenckich. Kiedy Profesor wpadł w pasję, jedna ze studentek, miła i inteligentna dziewczyna, wstała i powiedziała mniej więcej tak: „Bo gdyby Pan Profesor na nas nie krzyczał, to my byśmy lepiej odpowiadali“. Nitsch osłupiał, ale seminarium prowadził do końca już spokojnie, studentkę zaś, mającą zresztą zamiłowania literackie, lubił po dawnemu aż poza studia. Bo Nitsch się nigdy nie obrażał za słuszną krytykę.

Innym razem wybuchnął: „Bo trzeba zupełnie nie mieć wyobraźni, żeby coś takiego powiedzieć“. Studentka, pilna zresztą i uważna, rozbeczała się i chlipała do końca seminarium. Bardzo ją to obeszło. Nitsch, jak zwykle, skończywszy ćwiczenia wybiegł z sali, ale za chwilę był z powrotem i wzięwszy dziewczynę do swego pokoju z widoczną skruchą tłumaczył: „No, nie ma pani wyobraźni, ale dlaczego pani płacze?“

Każde seminarium i każdy egzamin przeżywał po młodzieńczemu jeszcze w ostatnich latach. Wróciwszy z uniwersytetu opowiadał szczegółowo przebieg seminarium czy egzaminu, doskonale pamiętając wszystkie kolejne swoje pytania i odpowiedzi studentów. Czasem kończył wrażenia jakąś taką uwagą: „Ciągłe sobie przyrzekam, żeby mnie nic nie obchodziło, jak ktoś gada głupstwa“, i śmiejąc się dodawał: „Nie udaje się“.

Studentami, którzy przedmiot lubili, interesował się żywo. Pomagał w pracy, poddawał koncepcje, chętnie służył radą, a gdy

praca seminaryjna czy magisterska była już napisana, wiele czasu poświęcał na poprawienie jej i udoskonalenie, często z zamiarem oddania jej do druku.

Dostawało się także zaproszenia indywidualne do domu. Czasem niosło się z sobą jakiś napisany fragment referatu czy pracy, czasem szło się nie bardzo wiedząc, co ma być tematem rozmowy.

Równocześnie z gospodarzem podchodził czarny doberman, którego Profesor przedstawiał: „Nazywa się Aza, ale to jest on, nie ona“. Męskiego rodzaju Azę przyjmowało się chętnie do wiadomości. Uniezwyklenie pospolitego psiego imienia w taki właśnie sposób, prosty, ale nieoczekiwany i wyraźnie gramatyczny, pasowało do tych wyobrażeń, z jakimi przychodziło studentowi pierwszy raz wejść do domu Profesora.

Choć się już Nitscha znało, choć zaproszenie było jak najbardziej proste, szukało się i oczekiwało w otoczeniu Profesora jakichś cech niezwykłości, zapominając, że samo zaproszenie, nie ściśle w związku z pracą magisterską, było w ówczesnych stosunkach uniwersyteckich niezwykle. Ignacy Chrzanowski zapraszał także studentów do swego domu, ale przychodziło się wyłącznie po temat pracy magisterskiej, a potem — żeby zdać sprawę ze stanu roboty, co trwało krótko, odbywało się w określonych, z góry zapowiedzianych terminach. Mimo osobistego uroku, jaki miał Chrzanowski, owe u niego wizyty przypominały trochę porady lekarza.

Tu było inaczej. Siedziało się w miękkim fotelu i głaszcząc Azę po karku można było w ramach dużego okna widzieć daleki pejzaż nieba, pod którym czuło się, że płynie Wisła. Stąd niedostrzegalna, ale w chwilę później, kiedy gospodarz podprowadził do okna, dająca się widzieć spod drzew tarasowato opadającego ogrodu.

Masa książek, równo poukładanych w jasnych, do sufitu sięgających półkach, budziła pragnienie posiadania kiedyś czegoś takiego u siebie, łącznie z ciszą tego pokoju. Jej źródłem zdawała się być owa ściana książek więcej niż dywan pod nogami.

Z krótkiego zamyślenia wyrывał głos Profesora, który zazwyczaj jeszcze jakąś chwilę zajęty przy biurku, lubił wciąganiem w swoją robotę zaczynać rozmowę. Mogło być tak: „Na tej szpalcie jest cytat z Knapskiego. Czy zna pani ten słownik?“ Studentka nie znała. „No, to niech go pani weźmie“ — tu określał bardzo dokładnie jego położenie na półce. Potem należało miejsce ze

szpalty sprawdzić z oryginałem. To, zdawałoby się, proste polecenie bywało trudne. Profesor podchodził i pomagał w szukaniu. Bardzo przyjemnie było wylapać — sprawdzając cytaty z miejscem oryginału — np. aż dwa błędy. „No — mówił wtedy Nitsch — niech pani je teraz poprawi“. O korekcie nie miało się pojęcia, ale już za chwilę pod okiem Nitscha kaligrafowało się na marginesie jeden, drugi znak. Pokazał jeszcze ze dwa. Potem dawał do ręki inną szpaltę: „Musi się pani nauczyć robienia korekty“. Szło o naukę dla siebie, bo Nitsch nigdy się nie wyręczał nikim w korekcie. Oddając szpaltę słyszało się jeszcze jakąś uwagę o samym dziele. O słowniku Knapskiego powiedział wtedy nigdy dotąd nie słyszane, a jakże słuszne słowa: „To doskonały słownik, ale jego autor jest purystą“.

Puryzmu Nitsch nie cierpiał. W ostatnich latach, napotykając jakieś objawy brania rzeczy zbyt normatywnie, mówił nieraz: „Ja państwa normatywności aż za mało uczyłem, ale i teraz więcej bym nie uczył“.

Raz do roku zapraszał do siebie wszystkich uczestników wyższego seminarium. Najczęściej było to latem, pod koniec roku szkolnego. Na biurku Profesora stała wtedy w nie zwracającym uwagi flakonie jedna róża, czasem dwie. Dużo ich kwitło w ogrodzie. Najwięcej w różnych odcieniach żółtawych. Róże, właśnie żółte, najbardziej lubił. Po róży, czasem więcej, dostawały wszystkie dziewczęta. Przyjemnie było je brać wprost z ręki kogoś, kto różę trzymał jak żywego ptaszka.

Nie lubił Nitsch ceremonii i nastrojów uroczystych. Miewał przy takich okazjach osobliwe powiedzenia. W przeddzień promocji doktorskiej, robiąc aluzję do promocyjnego „*clarissima doctorante*“, powiedział komuś: „Niech się pani tak nie cieszy. Od jutra przestanie pani być młoda“. Gdy szło o niego samego, bywało dużo drastyczniej. Kiedy mu ktoś składał gratulacje z powodu otrzymania godności prezesa PAU, pojął rzecz tak: „To znaczy, że mi pan życzy śmierci“. „No, bo Kutrzeba był nim dwa lata“. Na parę dni przed uroczystością obchodzonym jubileuszem osiemdziesięciolecia śmiejąc się powiedział: „A, to by był dobry kawał, gdybym ja tak teraz umarł“.

Szczupły, drobny, poruszał się zawsze szybko. Nawet kiedy szedł po schodach w gmachu przy Gołębiej 20, gdzie na trzecim piętrze mieszczą się seminaria językowe. Do ostatnich lat te do-

brze wydeptane i dość strome schody nie męczyły go wcale. Stawał na trzecim pięttrze równie rzeński, jak był na dole, ku podziwowi wielu dużo młodszych od niego. Mówiło się nawet, że Nitsch chętnie chodzi tymi schodami i lubi je. Bywało przecież, że jednego dnia był na Gołębiej trzy i cztery razy.

Z Gołębiej szedł na Sławkowską do Akademii lub do drukarni uniwersyteckiej przy ul. Czapskich, gdzie się drukował *Język Polski* i tyle innych prac naukowych, których Nitsch był redaktorem lub współredaktorem. W drukarni bywał co dzień, a kiedy się zdarzało, że nie miał tam po co iść, czuł się wyraźnie nieswój. Znał nie tylko kierowników działów, ale wielu zecerów, i ze wszystkimi lubił pogadać.

Wybierał ulice mniej ruchliwe. Więc na Sławkowską szedł zawsze przez Jagiellońską, a że przed wojną przy ul. św. Anny mieściło się seminarium słowiańskie, była Jagiellońska ulicą, na której się go widziało chyba częściej niż na domowej salwatorskiej Gontynie. Jeśli się z nim tu spotkało i razem szło, opowiadał o sprawach, z którymi się dopiero co zetknął w Akademii, seminarium językowym, drukarni. W żywszych fragmentach rozmowy przystawał, zwykle w najmniej ruchliwym punkcie ulicy, najczęściej już w pobliżu gmachów uniwersyteckich.

Tu gdzieś, za moich studenckich czasów, wyjął ze swojej pękatej teczki gotowy, ale jeszcze pachnący świeżym drukiem zeszyt bodajże *Ludu Słowiańskiego*: „Niech pani przeczyta uważnie kartę tytułową“. Takie proste polecenie wywoływało instynktowny lęk, bo jakże trudno było dotrzymać kroku Nitschowi, kiedy szło o wyłapanie błędu drukarskiego. Swoją spostrzegawczością bił wtedy wszystkich na głowę. Tym razem rzecz była zbyt uderzająca: w dacie druku po jedynce zamiast 9 następowała 8. Nitsch zaśmiewał się. Byłam stropiona i przez jakąś chwilę szukałam mimo woli drugiego błędu. Ale o ten właśnie chodziło. Śmiejąc się opowiedział parę zabawnych historyjek o autentycznych chochlikach drukarskich. Był incydentem wyraźnie ubawiony.

Ówczesną moją reakcją było wciąż jakieś zbiecie z tropu i potrzeba refleksji. Przecież znało się Nitschową niecierpliwość na błęd. Tak. Ale na błąd wynikający z ograniczenia, braku inteligencji, niedbalstwa. Błędy drukarskie należą do innej kategorii. Spostrzegawczość, inteligencja, staranność nie wystarczają. Wchodzą

tu w grę jakieś dodatkowe jeszcze momenty, które sprawę błędu zecerskiego czynią często bardzo zawiłą.

Nitsch, sam znakomity korektor i doświadczony wydawca, świetnie te rzeczy rozumiał i był konsekwentnie dla potknięć zecerów wyrozumiały, wręcz pobłażliwy, a zawsze bardzo dbający o to i uczący tego, żeby korektorskie poprawki były dokładne i wyraźne, bo „zecer nie może się zastanawiać, musi to robić mechanicznie“. „Ale — lubił dodawać — są zecerzy inteligentniejsi od autorów. Był taki pan, co dał kursywne wszystkie tytuły dzieł, na które się w artykule powoływał. Co zrobił zecer? Składał według zasady Języka Polskiego, która jest inna. I nie tylko to. Język Polski kursywą wyróżnia w tekście i przykładach omawiane wyrazy. Autor, niedbały, nie zrobił tego porządnie. A zecer? Poprawił i nie pomylił się“.

Sam czy z kimś, szedł ulicą bardzo szybko. Prawie przebiegał. Bez wysiłku i, co ważniejsze, nie sprawiając wrażenia pośpiechu. Czy dlatego, że się sam do tego tempa przyzwyczał i przyzwyczaili inni, czy dlatego, że nigdy się nie śpiesząc, nie miał w twarzy nic, co by o pośpiechu mówiło.

Mocno pochylony, z oczyma spuszczoneymi, w grubych okularach, z laską, która nigdy nogom nie służyła — oto, jakim się go widziało na ulicy. Są ludzie źle widzący, chodzący jednak prosto i niedobrze widzącymi oczyma patrzący przed siebie w przestrzeń. Może jednak psychice człowieka, który całym swoim umysłem nachylał się ku rzeczom konkretnym, ku „glebie“ zagadnień, właściwszy był inny sposób chodzenia, właśnie taki, manifestujący się jakby potrzebą jak najlepszego widzenia gruntu także pod swoimi nogami.

Kogoś, kto Nitscha znał tylko z ulicy, mogła mylić i myliła jego sylwetka. Jeden z takich przechodniów, nie mający zresztą nic wspólnego z humanistyką, widział w Nitschu typowego uczonego zza biurka, który izoluje się od ludzi i nie wie, co to wycieczka za miasto. Zdziwił się i z miejsca zmienił zdanie, kiedy się dowiedział, jak Nitsch „bierze“ przejście ulicy z jednej strony na drugą. W najruchliwszym punkcie, nieomylnym jakimś instynktem przestrzeni wiedziony, przemykał się Nitsch zręcznie i szybko między dwoma szeregami aut i tramwajów jadących w jedną i drugą stronę. I na przeciwległym chodniku czekał na towarzysza czy towarzystwo, którzy nie umieli pójść jego śladem. Czasem czekał dość długo. W tym czekaniu było trochę triumfu i lekkiej ironii.

Tak robił jeszcze w ostatnich latach, kiedy już bardzo źle widział. I wówczas decydował się bez wahania na przejście, wybierając widocznie właściwy moment i manewrując widocznie właściwie, skoro nigdy mu się nic nie stało i nikt nigdy nie widział, żeby się przez niego zatrzymało jakieś auto.

Czyjś lęk o niego bawił go. Lubił wtedy cytować Gawrońskiego, który chodził po Paryżu „trzeba przyznać — dodawał — bardzo nieostrożnie“, a kiedy mu się zwracało uwagę, mówił: „Ja mam uważać? Niech on [kierowca] uważa“.

Wskakiwał i wyskakiwał z tramwaju. I może nawet trochę miał za złe innym, jeśli tego nie umieli. „Nie chciała pani jechać z Borowym?“ — powiedział mi metaforycznie, kiedy na przystanku salwatorskim tramwaj ruszył w momencie, w którym nadeszliśmy. Borowy wskoczył, ja nie. Było to w roku 1947. Jeszcze wtedy Nitsch robił to samo, co Borowy.

Piechurem był znakomitym. Lubił dłuższe parogodzinne wycieczki, no i przewędrował, korzystając z różnych środków lokomocji, w tym dużo właśnie pieszo, rzadziej już na rowerze, całą niemal Polskę, zbierając materiały do prac o dialektach polskich. A że wykład czy seminarium prowadził chodząc, że odczyty wygłaszał najczęściej przy tablicy i mapie, a więc także chodząc, że przyjmując interesantów nie wytrzymywał długo na siedząco za biurkiem i podrywał się — z żywością umysłu szła widocznie ściśle w parze ruchliwość fizyczna.

Patrząc na ogromny plon pracy Kazimierza Nitscha, zadajemy sobie mimo woli pytanie, jakie czynniki czy cechy osobowości tak wielki dorobek umożliwiły. Starając się uchwycić jakieś elementy, widzimy jednak od razu, że nawet suma ich nie potrafi fenomenu osobowości Nitscha wyjaśnić. Czynnikiem pierwszym była niewątpliwie ciągła i systematyczna pracowitość, dzięki której Profesor nie tracił dosłownie ani chwili czasu. Umiał przy tym zajęcia swoje doskonale zaplanować i zorganizować. Niemalą rolę odgrywała też duża zdolność koncentracji na zagadnieniu, o którym — gdy raz na nie zwrócił uwagę — ciągle myślał, tak przy biurku, jak i na spacerze czy w tramwaju, a gdy tok rozważań został przez jakiś czynnik zewnętrzny naruszony, po zniknięciu przeszkody myśl jego automatycznie wracała do toku przedtem przerwanego.

Nitsch ciągle się rozwijał. Wszechstronna i obfita lektura fa-

chowego piśmiennictwa językoznawczego, ale i w ogóle humanistycznego, poszerzała po ostatnie lata życia jego horyzont naukowy, a własne przemyślenia problemów i doświadczenie naukowe gruntowały metodę pracy. W myśleniu, jak w codziennych reakcjach, żywy i szybki, pracował prędko i sprawnie, a właściwa mu żarliwość w odniesieniu do wszystkich zjawisk otaczającego go życia pozwalała mu także problemy naukowe traktować osobiście. Były one przez niego naprawdę przeżywane. Nauka była jego wielką pasją. Ale choć zewnętrznie reagował łatwo i żywo, nie opuszczał go nigdy wewnętrzny spokój. W jednym ze swoich listów pisał:

Optymistyczny spokój to główny warunek wartościowego życia, pozwalający właśnie i na pogłębienie się, i na silniejsze pamiętanie o tym, co pamiętać warto.

I to może była jedna z tajemnic owocności jego życia.